

dźwięk w Serbii, za tą poszła Czarnogóra, a wreszcie i Grecja. Powstanie tej nowej formacji politycznej trzymane było długo w tajemnicy przed całą prawie Europą. Kiedy zaś mocarstwa zorientowały się w tem, co się dzieje, sprawy zaszły już tak daleko, że nie pozostało im nic innego, jak biernie wyczekiwać wyniku akcji, która lada dzień mogła być podjęta.

Wszystkie wielkie mocarstwa skierowały obecnie swe usiłowania w tym kierunku, aby utrwalić swe wpływy przedewszystkiem w Turcyi, a potem w poszczególnych państwach bałkańskich. I jeśli dzisiaj zatarg na Bałkanach znajduje tak żywy odźwięk w całej Europie, to jest to następstwem właśnie tej rywalizacji, jaka o Wschód Europy między wielkimi mocarstwami od lat się toczy.

Dlatego to równorzędnie z rokowaniami pokojowymi w Londynie obradować będzie konferencja ambasadorów sześciu wielkich mocarstw Europy. Dlatego także łatwo stać się może, iż z Londynu nie wyjdzie pokój, ale wo na i wtedy może to być tylko wojna ogólnoeuropejska.

Tak wygląda historyczna rola Bałkanu. A teraz kilka słów o tych ludach słowiańskich, które dziś walczą tam o swe prawa. Na czoło ich wybijają się Bułgarzy. O ich charakterze wiele się obecnie mówi i to w różny sposób. Najlepszą charakterystykę ich daje jednak pewien korespondent szwajski, który w ten sposób ich opisuje:

„W armii bułgarskiej mówią wiele o artykułach, jakie się świeżo ukazały w prasie niemieckiej i francuskiej, o gburowatości, nieuczoności i nieufności Bułgarów wogóle.

Znając Bułgarów oddawna dobrze, uważam sobie za obowiązek zaprzeczyć jaknajkategoryczniej oszczerstwom które pochodzą z źródła niemieckiego.

Żaden kraj nie zna Bułgarów tak dobrze, jak my Szwajcarzy. Setki ich przyjeżdżało do nas corocznie na studia. Otóż studenci bułgarscy w uniwersytetach szwajcarskich to najpracowitszy i najspokojniejszy żywioł.

Niemcy skarżą się na zbyt surowość cenzury wojskowej bułgarskiej. Otóż uważam tę surowość za zupełnie usprawiedliwioną wobec tendencyjnego

i wrogiego traktowania przez gazety niemieckie spraw bułgarskich.

Zarzucają Bułgarom okrucieństwo! Jeżeli nawet były — a zapewne były — czyny, które można podciągnąć pod to określenie, to czyż nie są one usprawiedliwione, jako odruch ludu, który powstał, aby pomścić okrucieństwa i gwałty, dokonane na żonach i córkach braci.

Bułgar jest nieufny z natury, ale przecież przez pięć wieków żył w niewoli! Kto ich pozna bliżej, ten po za nieufnością tą znajdzie u nich dobre serce i nawet prostoduszność.

Żołnierzom bułgarskim Niemcy zarzucają niencziwość, skłonność do kradzieży.

Pewien kapitan opowiadał mi, że w ciągu kilkunastoletniej służby w trzech oddziałach armii napotkał jeden jedyny wypadek kradzieży.

Ale — kto chce, ten i na słońcu znajdzie plamy.



Dziesięć koron.

U zegarka mego przyjaciela zauważyłem już dawno oryginalny brelok. Była to złota dziesięciokoronówka, na której jednak ząb czasu pozostawił głębokie znaki. Brelok ten otaczała dziwna jakaś tajemnica, o której mój przyjaciel nigdy nie opowiadał. Aż razu pewnego, a było to w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, pod wpływem jakichś wspomnień, które go opanowały, rozgadał się i ulegając naszym prośbom, opowiedział następującą historię breloka.

— Wiecie — rozpoczął — że jako młody chłopak byłem dosyć lekkomyślnym ptakiem i gdyby sprawiedliwość nie była czasem ślepą, to za ten pieniądź siedziałbym już dawno w więzieniu. Ukradłem go bowiem i to w sposób dosyć niegodziwy i podstępny.

Przypominacie sobie zapewne — nie staram się tego dziś ukrywać — że byłem wówczas namiętym graczem i członkiem pewnego klubu, bardzo wziętego, który w gruncie rzeczy nie był niczem innem, jak zwykłą jaskinią gry. Co wieczora spieszyłem do tego klubu, gdzie grałem, tracąc cały mój majątek. Co wieczora szedłem tam z nadzieją, że wrócę z wypchanymi złotem kieszeniami. Co z człowieka zrobić może taka fałszywa nadzieja, wie z pewnością nie jeden z was. Z dnia na dzień stawałem się coraz bardziej zgryźliwym i nerwowym, aż wkońcu przyszła chwila, gdzie miałem w kieszeni wszystkiego tylko tysiąc koron.

Był to piątek, drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia. Przesądny, jak wszyscy gracze, byłem przekonany, że właśnie ten dzień przyniesie mi szczęście. Udałem się do klubu, postanowiwszy sobie wszystkie moje pieniądze rzucić na karty i albo wrócić z tysiącami, albo też przegrawszy wszystko, strzelić sobie w łeb.

Kiedy skręcałem w ulicę, przy której mieścił się klub, była właśnie jedynasta w nocy. Pod bramą jakiegoś kamienicy, którą mijałem, spostrzegłem siedzącą starą dziadówkę. Spała z wyciągniętą do prośby ręką, a kiedy ją mijałem, poruszyła się we śnie, jak gdyby mnie o datek prosić chciała. W świetle latarni dostrzegłem jej starą twarz, poraną nędzą i troską i mimowoli sięgnąłem do kieszeni.

Miedzy palcami poczułem kilka różnej wielkości monet, a nie przebiegając wiele, wyciągnąłem pierwszą z brzegu, którą mogłem uchwycić. Spojrzałem na nią, była to dziesięciokoronówka, ta sama, którą tutaj widzicie. W pierwszej chwili zawahałem się, przypomniał mi się jednak przesąd graczy, że jaimuzna, dana ubogiemu, wraca szczęście. Rzuciłem więc dziesięciokoronówkę w wyciągniętą rękę dziadówki. Nie obudziła się, ale mimowoli palce jej ręki zacisnęły się około pieniądza.

Pospieszyłem szybko do klubu. W myśli wyobrażałem sobie zdziwienie staruszki, kiedy, obudziwszy się, znajdzie złotą dziesięciokoronówkę, a także byłem ciekawy, co też los mi na dzisiaj przeznaczy, czy majątek, czy kulę rewolwerową.

W klubie gra szła już w najlepszą. Przybył książę K., bogaty milioner, znany ze swego szczęścia w kartach. Siedłem do gry i przez pierwsze pół godziny los uśmiechnął mi się tak szczęśliwie, iż z moich 990 koron miałem przed sobą 10 000. Rzecz prosta, że zacząłem grać tem zapalczywiej. Po chwili zacząłem przegrywać. Wprowadziłem jeszcze raz pozwolono mi odejść się na 50 000, ale potem, mimo wszelkich z mej strony wysiłków,

szło coraz gorzej. Wreszcie wstałem od stołu bez centa w kieszeni.

Kazałem sobie podać zarzutkę i kapelusz i wyszedłem na ulicę. Noc była pogodna, mróz zelżał



zupełnie, zapowiadała się odwilż. Stara dziadówka drzemała jeszcze ciągle w swoim kąci, a kiedy podszedłem do niej, ujrzałem moje dziesięć koron, błyskające w pół zamkniętej dłoni. Nagle w umyśle moim błysła szalona myśl. Rozejrzałem się po ulicy. Było cicho i pusto. Stałem.

A gdyby te dziesięć koron jej odebrać! Przecież ona nie wie wcale o tem, że je ma. Mogę je zabrać nie budząc jej, wcale.

A gdyby się obudziła? No, to jej wtedy powiem, że właśnie chciałem jej ten pieniądź podarować.

A jednak wahałem się. Mój czyn wydawał mi się strasznie podły. Gdy tak stałem, namysławiając się, otwarto nademną w klubie okno i usłyszałem jak ktoś wołał:

„Panowie, bank przegrywa! Przypuśćmy ostatni szturm!”

To zdecydowało.

Przyskoczyłem do żebraczki, wyrwałem jej pieniądź z ręki i biegiem prawie zawróciłem do klubu. Udałem, że zapomniałem parasola, a ponieważ w sali klubowej grano w ruletę, przy czem książę K. trzymał bank, rzuciłem moją ukradzioną dziesięciokoronówkę na trzynastkę i nie chcąc widzieć jej smutnego losu, wyszedłem do garderoby, rzekomo w poszukiwaniu za moim parasolem.

Po upływie długich kilka minut wróciłem na salę, gdzie zastałem wszystkich w ogromnym podnieceniu. Bank był rozbity. Spojrzałem na moją trzynastkę. Na ukradzionej dziesięciokoronówce piętrzył się stos złota i banknotów.

Byłem bogatym. Objąłem bank i prowadziłem grę dalej. Zamiast rulety graliśmy w trente et quarante, później w bakarata, ale mimo, iż grałem z szaloną odwagą szczęście nie opuściło mnie ani na chwilę. O świcie wyszedłem mając w kieszeni 150 000 koron.

* * *

Przypomniałem sobie nagłe starą dziadówkę. Przecież ona była sprawczynią mego szczęścia i ona powinna brać udział w mojej radości. Chciałem ją obdarzyć, hojnie wynagrodzić i zacząłem szukać jej po całej ulicy. Zapytałem policyjanta, czy nie widział odchodzącej. Potwierdził, że istotnie widział, ale nie zwrócił na nią zupełnie uwagi. Wyjaśniłem mu, że mam bardzo ważne powody, dla których ją koniecznie znaleźć muszę. Poradził mi wtedy, aby udać się na inspekcję policyjną i tam sprawę załatwić. Nie mając innego wyjścia udałem się do komisarza policyi, któremu całą historię przedstawiłem, zmieniając tylko o tyle fakta, iż opowiedziałem mu, że szczęście przyniosło mi dziesięć koron, które chciałem dać tej dziadówce, a nie dałem. Zarazem zdeponowałem na policyi tysiąc koron z prośbą o wyszukanie starowiny i wręczenie jej ich.

Kiedy już zegnałem się z komisarzem, ten z uśmiechem odezwał się:

— Jeśli pan tej biedaczce owe dziesięć koron także przeznaczył, to dotychczas pan do tej tysiączki, jej się to z pewnością przyda.

Sięgnąłem do kieszonki, gdzie schowałem szczęśliwego inkluza i rzuciłem go na stół. Komisarz na dźwięk, jaki moneta wydała, spojrzał na nią bacznie, a pochwywszy ze stołu, zaczął jej się uważnie przyglądać. Po chwili zwrócił się do mnie:

— Jeśli pan chce naprawdę dziesięć koron cofnąć, to daj pan inne, gdyż te są fałszywe.

Zrozumiałem się. Po paru tygodniach oddano mi tysiąc koron, dzadówki nie znaleziono. Od tej chwili jednak przestałem grać w karty.